

A close-up photograph of a woman's face and neck. Her eyes are closed, and her lips are slightly parted, showing her teeth. Her dark hair is visible, framing her face. The background is a soft, out-of-focus light blue. The text 'Egzotyczna kochanka' is overlaid in a dark red, serif font.

Egzotyczna
kochanka

MICHAŁ GARDOWSKI

Michał Gardowski

**EGZOTYCZNA
KOCHANKA**

© Copyright by Michał Gardowski & e-bookowo 2009

ISBN 978-83-61184-74-4

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo

www.e-bookowo.pl

Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione

Wydanie I 2010

Wprowadzenie

Stało się to wszystko jednego kwietniowego dnia 1920 roku. Bogaty, zasobny w ropę naftową Azerbejdżan, po okupacji carskiej, odzyskał swój samostny byt, by po dwóch latach znowu stać się zniewoloną przez niewiernych, republiką radziecką.

Na pagórku porośniętym krzakami krwistego berberysu, od strony portu w Baku, opadła mgiełka prochowego dymu. Salwa bolszewickiego plutonu egzekucyjnego skosiła na ziemię ciała pojmanych członków rządu Demokratycznej Republiki Azerbejdżanu. Wśród nich, szefa sztabu armii, Polaka, generała Macieja Sulkiewicza.

Egzekucja była znakiem dla rozzuchwalonych, wypuszczonych z więzień kryminalistów. Pociągnęli za sobą motłoch i dołączyli do uzbrojonych ochotników bolszewickich z sąsiednich republik. Wylegli na ulice Baku.

W podziemiach dżami – katedralnego meczetu odbywała się tajemna narada Bractwa Muzułmańskiego. Z zasłoniętymi twarzami przed modlącymi się na dywanikach duchownymi stało czterech mężczyzn.

– Czy jesteście gotowi oddać życie za wiarę? – spytał szejch, nosiciel absolutnej duchownej władzy tajemnej, Zwierzchnik bractwa.

Czterech zamaskowanych mężczyzn skłoniło się milcząc.

– Czy godni są być klucznikami? – zwrócił się do zebranych duchownych Zwierzchnik.

Po kolei schylali głowy na znak swego przyzwolenia.

Bolszewicka demonstracja tymczasem rozlała się ulicami stolicy, jak strumienie płonącej ropy naftowej. Niszczono i rabowano sklepy, pustoszo bazary i domy zamożnych ludzi. Gigantyczna fala żądnych rabunku ludzi wdzierała się do tradycją uświęconych miejsc: pałaców władców, do meczetów, klejnotów architektury świeckiej i sakralnej. Nieokiełznany tłum, przeniknął na otoczony krążgankami prostokątny dziedziniec dżami i do ogrom-

nej, kolumnowej sali modlitw. Znajdujący się w podziemiach świątyni Zwierzchnik zbliżył się do jednej ze ścian w podziemiach meczetu i uruchomił dźwignię otwierającą skryte przejście na zewnątrz.

– Pójdźcie i pełnijcie powinność swoją, aż Bóg przebaczy grzechy nasze i pozwoli wam wyjść na światło dzienne i głośno chwalić imię swoje – powiedział do czterech, tylko jemu znanych kluczników.

Czterech mężczyzn pochłonał mrok podziemnego przejścia. Poczym przejście, stanowiące niszę mihrabu, wskazującego kierunek Mekki, zamknął z cichym szelestem jeden z duchownych.

– Znajdą tylko nas – powiedział wieszczo Zwierzchnik. – Nasz los jest w rękach Allacha. Módlmy się za tych, co zginęli z rąk niewiernych.

Tłum rabował bezcenne kobierce, a nie znajdując zapowiedzianych przez prowokatorów skarbów, niszczył w paroksyzmie nienawiści mozaikowe ornamenty świątyni. Za plecami motłochu, czaili się zdyscyplinowani, wysłannicy Czeki, Nadzwyczajnego Komitetu do Walki z Kontrrewolucją. Poszukiwali wrogów narodu, a drogę wskazywał im zaślepiony ideami społecznymi muzezin Ibrahim. Niósł w rękę pochodnię rzucającą światło na złowrogo błyszczącą broń w rękach ludzi w skórzanych marynarkach. Prowadził ich labiryntem podziemnych przejść, do znanego nielicznym, pomieszczenia.

Czekiści wpadli z pistoletami do niewielkiej salki. Na rozłożonych dywanikach, w karnych szeregach, we wspólnej modlitwie dhikr, duchowni w skupieniu recytowali imiona Allacha.

– Pod ścianę! – ryknął dowódca czekistów.

Żaden duchowny nie drgnął, nikt nie wstał z klęczek.

Czekista odbezpieczył pistolet, podszedł do najbliższej klęczącego i strzelił mu w głowę.

– Tego brać żywcem – Ibrahim wskazał ręką Zwierzchnika. – Ten będzie potrzebny, wie wszystko.

Za zdrajcą wyrósł nagle wysoki mnich, narzucił mu na głowę czarną opończę i skrytym pod nią nożem poderżnął muezinowi gardło. Czekaści strzelili i obaj mężczyźni upadli na posadzkę pomieszczenia.

– Nie strzelać! – ryknął dowodzący. – Dawajcie tu Jagodę, będę wypytywał – powiedział kamandir.

Jak spod ziemi jawiła się młoda, rosła Cyganka.

– Ty – wskazał na jedyne, ogarniętego paniką, duchownego. – O czym rozmawialiście?

– O zbliżającym się ramadanie – wyjąkał duchowny

– Ty mi nie p... O tym każdy wie z kalendarza. – Kiwnął na Cyganke. – Co mu obetniesz?

Jagoda zbliżyła się do duchownego i nagle szarpnęła jego luźne odzienie. Mułła stał przed nią nagi. W ręku kobiety błysnęła brzytwa i pomieszczeniem targnął krzyk.

– Co ustaliliście, nazwiska? To dopiero początek. Za chwilę fiut już się ci do niczego nie przyda. Mów!

– Ustaliliśmy kluczników, jak czynił to Mahomet w chwilach zagrożenia – wycharczał zraniony duchowny.

– Nazwiska, kto taki. Czego mają strzec? Gdzie pieniądze, dokumenty? Mów!

– Tego ja nie wiem, ale mogę być pomocny. Mułła trząsał się jak w febrze. – Potrafię wskazać kluczników. Czego strzegą wie tylko on jeden. – Wskazał Zwierzchnika.

Kamandir kiwnął ręką i dwóch czekaściów pochwyciło pod ręce sędziwego duchownego.

– Obok, tam go rzućcie. – Jagoda patrzyła z obrzydzeniem na poślizniętego, przygarbionego starca.

W podziemiach rozległy się jęki narastające do piekielnego krzyku i niemal natychmiast ucichły.

– On nam wszystko wydał! – oznajmił kamandir. – Możecie mi i wy wszystko powiedzieć – rzucił w stronę pozostałych duchownych.

– Gdzie Zwierzchnik? – krzyknął nagle za kamandirem czyjś głos.

Kamandir wyprostował się jak struna.

– Zszedł – zameldował.

– Miałeś czekać! Powiedział?

– Nie!

– A ty go swołocz dźgnąłeś i pozbawiłeś rewolucję pieniędzy! – Naczelnik Czeki wyrwał mauzer z drewnianej kabury.

Wieś niosła, że kamandira zastrzelili duchowni, w meczecie. To rozwścieczyło demonstrantów, którzy zlinczowali podstępnych kapłanów.

Następnego poranka czekiści zwieźli do sali modlitw wykładowców ze szkół duchownych. Nikomu nie pozwolono zdjąć butów, naruszając uświęcony porządek świątyni. Zatrzymani w miejscu pracy i w domach mężczyźni, stali w bezruchu, w szeregach. U ich nóg, na czworakach, pełzał okaleczony uprzedniego dnia duchowny. Naczelnik czeki siedział na drewnianym stoleczku i wodził wzrokiem za nędzną kreaturą zdrajcy przemierzającego na kolanach, obdartą z kobierców podłogę meczetu.

– Ten – wystękał.

Czekiści chwycili szarpiącego się mężczyznę i skuli go kajdankami.

– Au!- zawył kopnięty w twarz zdrajca.

–Szukaj dalej – rozkazał naczelnik zdumiony nadprzyrodzonymi zdolnościami duchownego.

W ten niezrozumiały sposób, obwąchując, czy może oglądając obuwie, zdrajca znalazł i wskazał, czterech rzekomych kluczników.

– Ten. – Wskazał ostatniego. Za oknem meczetu rozległ się przeciągły gwizd. Zdrajca jęknął uderzony w plecy nożem. Młody człowiek skoczył do okna i runął na zewnątrz. Rozległ się tętent galopujących koni.

1

W wielkim jak sala gimnastyczna gabinecie, pod ogromnym zdjęciem Włodzimierza Ilicza Lenina siedziało dwóch mężczyzn.

– I co? Dotarliście, majorze, do dokumentów sprawy przeciw czterem klucznikom muzułmańskim w Baku? Jakie wnioski? Czy macie swoją ocenę tamtych wydarzeń? – spytał generał Aleksiej Iwanow, pierwszy zastępca ministra przemianowanego niedawno NKWD na Ministerstwo Spraw Wewnętrznych.

Generał był po sześćdziesiątce, ale wyglądał znacznie młodziej. Tweedowa marynarka i sportowa koszula odbierały mu, co najmniej piętnaście lat. Major Salim Murad z Baku poczuł się nieswojo. Nie zdarzyło mu się jeszcze rozmawiać z żadnym wiceministrem – generałem w tweedowej marynarce i rozpiętej koszuli. To było wbrew, major nie umiał znaleźć właściwego słowa. Odczuł to jako widomy znak uszczuplenia władzy do niedawna wszechpotężnej NKWD.

Po prawej ręce generała wisiała na ścianie oprawiona w miedziane ramy mapa Związku Radzieckiego z piętnastoma czerwonymi, dwudziestoma zielonymi i ośmioma żółtymi lampkami wyświetlającymi połączenia telefoniczne ze stolicami republik związkowych, wydzielonych republik autonomicznych i obwodów autonomicznych. Zapaliła się Ryga. Generał nie przyjął połączenia i rozmowa przełączona została na automatyczną sekretarkę. Major w obliczu cudu techniki doznał upajającego wrażenia.

– Pozostał wierny frontowej służbie łączności – skonstatował. Przed wizytą zasięgnął języka o generale, który był prekursorem szeroko zastosowanego przez NKWD podsłuchu.

– Według protokołów śledztwa trzech klucznicy przyznali się – zameldował major rezultaty swego rekonesansu. – Jeden klucznik uciekł i podobno zginął na Ukrainie. Jeden z tych trzech pojmanych wskazał miejsce ukrycia części

skarbu. Dwóch wiedziało tylko o miejscu przechowywania niektórych dokumentów i ksiąg.

– A jakim sposobem udało się wtajemniczonych odnaleźć? Przecież byli zakonspirowani?

Major ochłonął już ze zdziwienia. Zaakceptował generała w tweedowej marynarce i cud automatycznej centrali telefonicznej.

– Zwierzchnika wykończono od razu. Rzeczywistych lub domniemanych kluczników wskazał okaleczony muła. W przeciwieństwie do niego, torturowani członkowie bractwa, zeznali, że jedynym posiadającym dostęp do wszystkich tajemnic klucznikiem jest nieznany naukowiec. Dla odróżnienia od kluczników dam mu ksywkę „powiernik”. Tę informację w śledztwie zlekceważono.

Na biurku generała zapaliły się aż trzy kolorowe lampki. Nie podniósł słuchawki telefonu, lecz włączył urządzenie głośno mówiące. Opowiadał rozmówcy do niewielkiego mikrofonu.

– Zamknąć według listy. A czego się boicie? Nazwisk? Do głowy wam nie przyjdzie, z jakimi nazwiskami się jeszcze spotkacie.– Generał pstryknął przełącznik i tym razem podniósł telefon. Na jego twarzy pojawił się grymas usprawiedliwienia. Wysłuchał czyjś głosu. – Tak! Tak! – mruknął. – Nie łączyć – rzucił do interkomu.

Major był podbudowany tym, co usłyszał. „Więc nic się nie zmieniło. Firma jedynie zmieniła szyld i wystrój.”

Gdy generał sprawy te miał poza sobą, zwrócił się do gościa:

– Powiedzieliście majorze uczony.

– Nie. Naukowiec. A to w zrozumieniu duchownych stanowi zasadniczą różnicę – sprostował major.– Pojmani, jak prześledziłem w dokumentach, mieli wprowadzić dyplomy i byli wykładowcami, ale uczelni religijnych. Tacy uważani byli za uczonych, a nie naukowców.

– Więc są dwie wersje wydarzeń. Tajemnicę znał powiernik, nieznany naukowiec, lub znali ją czterej wskazani przez mułę klucznicy

– Sadzę, że sprowadza się to do jednej wersji. Powiernik i czterej klucznicy.

Generałowi podobało się to nie potakiwanie majora. Cenił u podwładnych, w rozsądnych proporcjach, odrębność rozumowania.

– Skonfrontowano mułę z ponad stu wykształconymi mężczyznami, a mułła wybrał czterech, po obuwiu – relacjonował major.

– Nikogo nie zastanowiło, że w metodzie weryfikowania przez mułłę kluczników tkwił jakiś podstęp. Nie zadano sobie trudu, by odpowiedzieć, jak on to zrobił? – spytał generał.

Major spojrział w jego kierunku ze szczerą estymą.

– To mi też właśnie wydało się szczególnie podejrzane. Żeby duchowny, jak jakiś pies, mógł poznać kluczników jedynie po butach. Twierdzę, że mułła nie był zdrajcą, lecz wypełnił powierzona mu przez Zwierzchnika misję. Zapewne zgodnie z jego wolą oznaczył potajemnie obuwiu kluczników, gdy znajdowało się w stosownym miejscu.

– Ci wskazani przez niego klucznicy, jak również on sam, zgodzili się wszak być męczennikami, wiedzieli tyle, ile uznał za słuszne Zwierzchnik. Powiedzieli to, co dla nich przewidział Zwierzchnik. Tych kluczników, jak powiedzieliście, mułła po prostu oznakował. Wtajemniczony we wszystko naukowiec, został w ten sposób osłonięty. Czy taki jest was końcowy wywód? – spytał zaciekawiony generał.

– Tak – stwierdził major. – Fachura – dodał w myślach. – Ci wytropieni przez mułłę nie byli zupełnie bezwartościowi, jak powiedziałem trochę wiedzieli o cennościach, o planach architektonicznych, skarbach kultury. Rzuca się w oczy to, że ich wiedza, na przykład o skarbach kultury nie wykraczała poza zabytki z wieku dziewiętnastego. Moim zdaniem Zwierzchnik liczył się z pewnymi stratami. Może nawet przeznaczył je dla większej wiarygodności, na wabia. – Major starannie dobierał słowa. Bo tak na prawdę nie wiedział, co generał wie o sprawie. Z jednej strony nie chciał, niepotrzebnie wybiegać przed szeregiem, z drugiej, zależało mu, by wypaść jak najlepiej. – Pochopnie uznano, że trzech straceni klucznicy nie pozostawili następców – kontynuował. – Już pobieżne rozpoznanie wskazało jednak, że nie można wykluczyć całko-

wicie takiej ewentualności. Czwarty klucznik uciekł. Ten trop najbardziej mnie interesuje.

– Czy i jak mogliby klucznicy swoje wiadomości przekazać komukolwiek przed śmiercią? – spytał generał. – Mieli mało czasu. Rano byli już w naszych rękach. Pozostaje ten czwarty. A pieniądze w walucie? Co wiemy o nich? – spytał generał.

– O pieniądzach żaden ze zlikwidowanych nie wiedział. W wyniku tortur zmyślali. Nic z tego się nie potwierdziło. Jestem przekonany, że jeśli ukryto jakieś pieniądze, to o nich wiedział ten, który uciekł, lub ten piąty, naukowiec, hipotetyczny, ocalony. – Major czuł się coraz pewniej i do tej hipotezy nabierał wewnętrznego przekonania. – Nie znaleziono również cennych z racji wartości historycznych klejnotów, a wśród nich pierścienia Mahmuda. Nic nie wiemy o miejscu ukrycia zabytkowych rękopisów piśmienniczych, ani planów architektonicznych, w tym zamku Szachów Szyrwanu oraz wielu mauzoleów.

– Zatem – sumował generał. – Twierdzicie, że wskazano nam pewnych ludzi świadomie, do odstrzału, aby osłonić tego właściwego, który wie zapewne wszystko. Ci czterej mieli wiedzę cząstkową. Zwierzchnik liczył się z tym, że mogą coś nie coś powiedzieć. Za śmierć mieli pójść do raju. Jeden z nich uciekł. Dlaczego? Trzeba absolutnie zrobić wszystko, aby ustalić jego los.

– Tak. A odpowiedź na pytanie, „dlaczego?” może brzmieć bardzo prozaicznie. Skusił się na duże pieniądze, złamał słowo, by żyć po królewsku. Ludzka rzecz – wtrącił major.

– Wygląda to mi logicznie. Aż nazbyt. A piątego, znał rzeczywiście tylko Zwierzchnik. Zwierzchnika zaś zaszlachtował nasz nadgorliwy kamandir. – Generał spojrział na majora uważnie. – Śmiała i prawdopodobna teoria. Również twierdzenie, że sprawę zbyt szybko uznano za zamkniętą, że straceni klucznicy nie pozostawili następców. No i zbagatelizowano ucieczkę tego czwartego. Widzę, że nie zaskoczę was majorze, jeśli powiem, że jeden z potomków kluczników lub, jak go nazwaliście, powiernika, na pewno żyje i posiada klucz do utajnionego konta w Centralnym Banku Szwajcarskim.

Major zachował całkowitą równowagę ducha.

– Trzeba winić gorączkowe czasy. Pochowaliśmy nie wszystkich, których należało – stwierdził cynicznie.

– Mam potwierdzenie przelewu ze Szwajcarii, z tajnego konta Bractwa Muzułmańskiego Azerbejdżanu, jednego miliona dolarów, na konto Bractwa Muzułmańskiego we Francji. Gdybyśmy przynajmniej wiedzieli, na co je przeznaczone, byłaby to znacząca wskazówka dla naszych działań.

– Więc wiemy o koncie byłego bractwa i znamy go? – stwierdził ostrożnie major.

– Wiemy o nim w wyniku współpracy naszego wywiadu z Anglikami – powiedział zwięźle generał. – I na tym się wiedza kończy. Wypłatę dokonano po wielu latach, po raz pierwszy na hasło, które udało się przechwycić. Dotąd uważaliśmy za pewnik, że żaden ze straconych kluczników nie zdażył przekazać swojej misji następcom. Od lat toczy się żmudne postępowanie sądowe o przejęcie tych pieniędzy. Przeszkodziła w tym wojna, no i tak dalej... W tej chwili, po tej wypłacie, ta szansa straciła umocowanie prawne. Właściciel konta się odezwał. Ktoś u góry – dodał enigmatycznie generał – próbował bez skutku uruchomić wypłatę znanym już hasłem. Stąd wiem, że każda nowa wypłata wymaga użycia nowego hasła, znanego tylko następcy klucznika.

– To obala definitywnie moją teorię czwartego klucznika, który uciekł dla pieniędzy – stwierdził major. – Więc potomek klucznika jest skromnym fanatykiem, bo pieniędzy z konta dotąd nie podbierał. – Zapewne nie wiedział o staraniach przejęcia konta przez nas. Z tego punktu widzenia wypłata była zbiegiem okoliczności. Z drugiej strony istnienie kogoś, kto ma dostęp do utajnionego konta, może być mocnym argumentem na rzecz egzystencji tego piątego. Czy pieniądze na stare hasło ktoś próbował zagarnąć dla siebie? – spytał major.

– Dlaczego tak sądzicie?

– Bo nie ma tłumaczenia dla profesjonalisty, jeśli sięga po raz już użyte hasło.

– Uwaga absolutnie słuszna. W grę wchodzi zapewne ogromna suma. Jednak nie fuszerka nas interesuje w danej chwili – przeciął tę ścieżkę rozważań generał.

– Wyplata była świadomym działaniem klucznika, bądź jego następcy, na rzecz czegoś, co nie jest nam znane, a czas wypłaty jedynie zbiegiem okoliczności – wrócił do sprawy major. – Gdyby ten ktoś wiedział o próbach przejęcia tych pieniędzy przez nas, nie dałby nam w ogóle szans – dowodził. – Dawno by się odezwał. Musi być ograniczenie w systemie łączności między tym kimś, a bankiem. Ze względów bezpieczeństwa, łączność działa, jak sądzę, jedynie, od posiadacza konta do banku? Wyplata nie była spowodowana żadnym zagrożeniem.

– Jest niezłym analitykiem – ocenił w myśli generał. I ma zacięcie łącznościowca. – Przecieków nie można wykluczyć – podważył rozumowanie majora. – Najbliższe prawdy mogło być to, że żyjący potomek klucznika przeczytał dyskretne sygnały o sprawie w zachodniej prasie finansowej. Zapewne z cichej inspiracji banku, który ma w tym interes, aby pieniądze leżały na ich koncie.

– Po cóż by ruszał, w tym wypadku, aż milion dolarów? Wystarczyło bankowi, aby potwierdził swoje istnienie – upierał się major. – Jak brzmiało hasło wypłaty? – zainteresował się. – Skąd wyszła dyspozycja?

– Depeszę z sumą i hasłem wypłaty, nadano z Polski, z Zalesia pod Warszawą. Miała formę życzeń imiennowych.

– Z Polski? – powtórzył z namysłem major. Jak brzmiało pierwsze hasło towarzyszu generale?

Generał rzucił okiem na małą karteczkę.

– Takaz.

– Takiego słowa nie ma w języku Azerskim.

– Dokumentacja, biżuteria, wszystko to ma znaczenie. Najważniejsze jednak pieniądze. Reszta na drugim planie. Tylko idioci mogą sądzić, że odbudują kiedyś ciemnogród na podstawie tych dokumentów i świętych ksiąg –

powiedział urągliwie generał.– Jednak właśnie na tej chimerze chcę oprzeć strategię odzyskania pieniędzy z ukrytego konta i zdemaskować żyjącego, lub żyjących, potomków kluczników, czy może powiernika.

Generał otworzył złotą papierośnicę i poczęstował majora papierosem z ustnikiem.

Major utkwiał na moment wzrok w złotym chronometrze generała ze świecąca marką „Tissot”. Tarcza zegarka pulsowała światłem.

– Wypijemy kawę z kanapką. Dała mi znać sekretarka, że czas.

Generał wstał zza biurka. Przechadzał się po gabinecie. Spoglądał z okna na moskiewski Kraszczatnik.

Wniesiono śniadanie.

– Główny architekt Baku, coś kombinuje z odbudową zamku szachów Szyrwanu i z meczetami. – Generał wypuścił z ust niebieską wstążeczkę dymu. Delektował się zapachem. – Jak można porównywać gruziński tytoń z tym perfumowanym od jakiegoś amerykańskiego Żyda Morisa? – Dopił swoją kawę. – Bakijski architekt zaraził się od litewskich zadufków, którzy po kryjomu odbudowali w Trokach zamek książąt. Żałośni szowiniści wciąż zasługują na gułagi. Niech jednak architekt w Baku kombinuje. I bardzo dobrze. Trzeba to wykorzystać dla naszych celów. Dać do zrozumienia, że na to pójdziemy. Na razie niech sobie dużo obiecują i o tym dyskutują. Z naszym dyskretnym i niesprecyzowanym poparciem dla idei odbudowy. Z Turcji do Baku, wybiera się przedstawiciel tamtego duchowieństwa. Daliśmy mu na to zgodę. Wywołamy wrażenie, że odbudowa meczetów i niektórych zabytków jest możliwa, jeśli z pomocą przyjdzie zagranica. Może klucznik albo sugerowany przez Was powiernik da się złapać w pułapkę i przeznaczy, za pośrednictwem Turków, na ten cel bardzo duże pieniądze. W odpowiedniej chwili położymy na tym rękę.

– Może by na początek zgodzić się na odbudowę jednego z meczetów ze składek. To bardzo uwiarygodniłoby strategię – powiedział major, a generał zaszczycił go dłuższym spojrzeniem. – Do następców straconych kluczników droga jest prostsza. Do znanego tylko Zwierzchnikowi, może okazać się nie-

możliwa. Ten sposób proponowany przez Was, towarzyszu generale, stwarza szansę. Trzeba założyć, że piątego, powiernika nikt z duchownych nie zna – zauważył major.

– Musi istnieć jakaś forma wzajemnej więzi, odnajdywania się.

Major próbował rozszyfrować myśl.

– W czasie rewizji w pomieszczeniu meczetu znaleziono jedynie Księgę Koranu w skórzanej oprawie – stwierdził. – Ten szesnasto, czy siedemnastowieczny Koran przejął po Zwierzchniku najwyższy rangą duchowny. Trzeba by mu się starannie przyjrzeć.

Generał skinął z aprobatą głową.

– Tak. Zwierzchnik mógł tam zostawić jakąś wiadomość dla następcy. Mógł jednak i nie zostawić. Zgodnie ze spiskową teorią dziejów, klucznicy, czy jak im tam jeszcze, nie są znani nikomu, a ujawniają się dopiero wtedy, gdy uznają, że nastał właściwy czas. Z tego punktu widzenia dekonspiracja z wypłatą wydaje się lekkomyślnością.

– Jeśli był pewien tajemnicy konta, to nie czuł się zagrożony – wrócił do swego twierdzenia major.

– Czy natrafiliście w dokumentach na ślad zaginionego pierścienia Alego, podobno świętości dla szyitów? – spytał generał. – Przed paru laty mieliśmy sygnał o poszukiwaniu pierścienia przez grupę archeologów z Turcji. Wart jest coś więcej, niż parę milionów dolarów na aukcji. Może być groźnym narzędziem w ręku fanatycznych muzułmanów szyickich. W naszych rękach również może być dobrym argumentem przetargowym zważywszy, że tureccy Kurdowie są szyitami.

– O pierścieniu ostatniego obieralnego kalifa mówi szczątkowe zestawienia zaginionego skarbu, opracowane przez profesora Basarchanowa, kustosa Muzeum Historii Kultury Materialnej Azerbejdżanu, rektora Uniwersytetu w Baku. Zestawienie takie jest w oficjalnym posiadaniu Głównego Architekta, Muzeum, Biblioteki, Archiwum, Przedsiębiorstwie Skupu Metali Szlachetnych „Jubiler”, Milicji i NKWD – odparł major. Sprawę pierścienia objąłem planem operacyjnym. Poszukiwaczy skarbu, jak sadzę, jest paru.

10

Miałem nieliczne spóźnienie. Pod Kolumną Zygmunta kupiłem bukiet polnych bławatków, pognałem przez Krakowskie do Dziekanki.

– Ty, w tym haremie? – Drogę zastąpiła mi Zośka Ochocka, świadek na naszym ślubie z Alą. Nie miałem pod ręką strzelby. Z powodu sporej niedowagi do nadmiernego wzrostu, uda Zośki tworzyły między sobą pokaźnych rozmiarów lukę, jak u tatarskiego jeźdźca. Miała twarz, jak księżyc w nowiu, nieświeże włosy, grube okulary na czubku orlego nosa. Nie cierpiałem tej wścibskiej baby i miałem ją Ali za złe.

– Cześć! – rzuciłem w biegu, zostawiając pokraczną amazonkę z zastygłym na ustach pytaniem.

Po chwili znalazłem się w ramionach olśniewająco pięknej kobiety w jej czarownym królestwie. Już podczas pierwszego spotkania odkryłem powab Murany, teraz go doświadczałem.

Nie kryła, że jestem oczekiwanym mężczyzną i kochankiem. Wytworzyła jawnoGRESZną atmosferę, w której nie było miejsca na pytanie: „czy”, pozostawało jedynie pytanie: „kiedy”.

Wszystkie znane mi wcześniej konwenanse i scenariusze wzięły w łeb. Od-rzuciłem jak Murana, grę pozorów, by tym silniej doświadczać płynącej stąd miłej, finezyjnej perwersji. Oglądałem z podziwem jej skarby przywiezione z Azerbejdżanu, a ona mi je natychmiast chciała sprezentować. Zaintereso-wałem się kolekcją płyt. Nastawiła Beatlesów „Yesterday”, a potem „Strawberry Fields Forever” i tańczyliśmy. Pocałowała mnie i gestem gospo-dyni usadowiła na sofie.

– Spróbuj kanapek. Wolisz z kawiolem czarnym czy czerwonym? Z cytryną czy z sokiem z granatów?

Była gościnna, opiekuńcza, zabiegała o moje względy, nie dbając o zachowanie najmniejszych pozorów.

– Wyluzuj, czarny kocie – zatraciłem się wręcz w tej rzece karesów.

Uśmiechała się promiennie, emanowała ciepłem, otarła się o mnie i wypełniła otoczenie wokół siebie tajemniczym, egzotycznym zapachem.

– Zjedz ciasteczka, mężczyźni lubią słodczy. Nie pogardź owocami, są kruche i pyszne w polewie lukrowej.

To nie była pani architekt, lecz żywe, nieznanne mi dotychczas, uosobienie kobiecości. Wabiła, mówiąc czasem do mnie w nieznanym języku.

– Czy obiecujesz mi wspaniałości, coś jeszcze bardziej pięknego niż teraz?
– spytałem.

– Jesteś niezwykle domyślny – odparła. – Skierowałam do ciebie słowa, które brzmią słodko tylko w moim języku. Zapewniłam, że czekam na twoją dłoń na mych ramionach, na twoje usta i oczy, na twój przyśpieszony oddech, na twoje porwane słowa.

Objąłem ją i zapadliśmy w stertę gładkich jak jedwab, miękkich jak puch, kolorowych poduszek.

Czas zatracił dla mnie swój ziemski wymiar, nie liczyło się nic, poza nami dwojga. Wtulaliśmy się w siebie, wydłużaliśmy w nieskończoność pieśczęoty. Murana rozkwitła jak nieznan, egzotyczny kwiat.

– Do końca życia pozostaniesz moim jedynym pragnieniem – wyszeptała, odrywając w końcu osłupiały wzrok od sufitu.

Przyjrzałem się jej wciąż płonącym oczom, wilgotnym, lekko rozchyłonym wargom, oliwkowemu, aksamitnemu ciału i wypiętym, lekko falującym pierśsiom. Nie znajdowałem słów mogących oddać słodycz i piękno kobiety, wciąż jeszcze spoczywającej w moich ramionach.

– Czy los będzie dla nas życzliwy? – zasięgnęła opinii kogoś, kto był poza mną.

– Wierzysz w los, w przeznaczenie?

Z rozmysłem sięgnęła na półeczkę po oprawiony w niebieską skórę foliał.

– Mam w nim zapisane swoje ulubione przypowieści. Czy starczy ci chęci i cierpliwości, by jedną z nich wysłuchać?

– Brzmi jak zapowiedź Szeherezady. – Byłem skłonny wysłuchać wszystkiego, co mi zaproponuje.

Murana zmrużyła oczy, improwizowała.

– Żył w Mozarze rybak Murad. Nie wiodło się mu w niczym, jego łodzi nie zagrzały kobiety. I kiedy Muradowi stała się obojętna pogoda i deszcz, wtedy ruszył do pałacu chana, aby na niego przelać całą swoją gorycz.

– Dokąd to Muradzie?

– Do chana – odpowiada Murad napotkanej pięknej dziewczynie. – Ty nie jesteś stąd. – Nie znam cię – dodaje.

– Jestem twoim losem – powiada nieznajoma. – Idź Muradzie do chana.

Oto i w blasku słońca lśnią wspaniałe kopuły meczetów. Stoi Murad na dworzyszczu i mruży oczy.

– Podły ciemieżco ludu! – woła i milknie na odgłos szczęku broni zbrojnych.

– Stójcie! – woła chan. Niech zobaczą śmiałka i sam wyrwę mu trzewia.

I kiedy Murad oczekiwał śmierci, ziemia zadrżała pod nogami. Zwały się wspaniałe budowle pałacu.

– Uratowałem was! – woła Murad.

Porwano Murada na ramiona i zaniesiono do chana. Ten, dziwiąc się jego mądrości, ofiarował mu swą przyjaźń.

Życie stało się Muradowi najmiłsze. I oto chan zabiera go w podróż, chce pokazać go wszystkim, przydać sobie blasku.

W pałacowym przedsionku zatrzymuje Murada żebraczka.

– Nie dotykaj mnie – mówi Murad.

– Jestem twoim losem – słyszy znajomy głos.

– Jakżeś się zmieniła.

– Ciężko kazałeś mi, Muradzie, pracować. Zamiast zamieniać piasek w sól, tyś kazał go zamieniać w złoto. Stara już jestem. Opuszczam cię, strzeż się.

– Już dobrze! – krzyknął i wskoczył na konia.

Strojna karawana wstąpiła w pustynię. Trzeciego dnia rozszalała się burza piaskowa.

– Wody, wody! – jęczał chan, popadając co chwila w omdlenie.

Murad włókł się wokół obozowiska. Złorzeczył swemu losowi i wtedy znalazł dwie dynie. Wyciągnął nóż, kawałek złocistego owocu nadział na czubek noża i przysunął do ust chana.

– On chce mnie zabić! – krzyknął nagle chan.

Zerwali się z ziemi wojownicy.

– Woda, jest woda! – Tam za tą wydumą jest woda! – krzyczał ktoś.

– On chciał mnie zabić i wskazać tę wodę – powiedział chan.

Karawana ruszyła dalej, ale nie było w niej mądrego Murada. Na zawsze opuścił go jego los.

Murana schyliła głowę i wzruszona przez dłuższą chwilę milczała. Przytuliła się do mnie jakby rzeczywiście coś nam zagrażało.

– Wierzę w los. On mnie fascynuje. Nie da się tej wiary odeprzeć jakimś racjonalnym argumentem. Człowiek losu nie potrafi odmienić – powiedziała poważnie.

– Czy nie sądzisz, że zbyt wiele da się usprawiedliwić zrzędzeniem losu?

Przez czas dłuższy się zastanawiała.

– Nie sądzę, żebyś chciał mnie urazić. Że jestem tu teraz z tobą, a nie przy mężu. Wierz mi, nie szukałam okazji. Tak chciał los.

– Byłaś cudowna.

Zasłoniła mi ręką usta.

– To ty byłeś. – Otarła się o mnie, niby pustynny wiatr, niosący gorący piasek.

Znowu prężyla się w moich objęciach. Musnąłem wargami szorstkie, atramentowe brodawki jej sutków wyzwalając lawinę gwałtownych wstrząsów. Miłowaliśmy się i wpatrywali w oczy, obserwując wolno odchodzące uniesienie. Na dworze zapadła głęboka noc, a mnie wciąż nigdzie nie było spieszno.

– Uwielbiam odgłosy, które wydajesz na koniec. Idź już – szepnęła cichutko Murana i przychodź, kiedy będziesz tego pragnął.

Któregoś dnia rano, na portierni znalazłem małą kopertkę. Była nad podziw ciężka. Otworzyłem i do ręki wypadła mi srebrna zapalniczka Ronsona. Mała karteczka była zapisana maczkiem: „Mareczku! Wyjechałam do domu. Ojciec miał wylew. Tak chce los. Przyjmij drobny prezent, który przygotowałam na twoje imieniny. Ten płomyczek to ja. Kocham. Murana.”

11

Gdy profesorowi Basarchanowowi po dziesięciu latach małżeństwa urodziła się córka nie mógł uwierzyć swemu szczęściu. Wybitni medycy, jego przyjaciele, przez lata nie dawali jego żonie żadnych nadziei. I nagle...

Profesor oszalał wprost na punkcie Murany, czym budził zgorszenie wśród części swoich przyjaciół, prawych muzułmanów. Od chwili narodzin traktował córkę tak, jak czyni się to jedynie w Azerbejdżanie w wypadku synów pierwородnych. Po maturze Murana studiowała, a po zrobieniu magisterium dzięki ojcu, jako chyba jedyna, wyjechała z Baku na studia doktoranckie do Polski.

Murana już przed maturą pomyślała, że któregoś dnia zostanie profesorem, że to zupełnie możliwe, i zaczęła się zachowywać stosownie do tego przekonania.

Profesor cieszył się z postępów córki i niestrudzenie podsycał w niej zainteresowanie przeszłością kraju i rozbudzał ambicje naukowe.

Murana była błyskotliwą uczennicą. Z łatwością nauczyła się do matury angielskiego. Na uczelnię dostała się bez egzaminu. Szybko zyskała sobie cichą opinię feministki, co przysporzyło jej zagorzałych wrogów i nie mniej oddanych zwolenników.

Słowem, nim jeszcze zaczęła fryzować tę swoją czarna niesforną szopę na Sopię Loren, miała już przeczytane w oryginale angielskim wszystkie wydobyte z nieznanymi schowków, nieliczne w jej kraju, książki feministek.

Teoretycznie czasy sprzyjały poglądom Murany. Na takie jak ona stawiała partia komunistyczna. Tylko, że Muranie z komunistami nie było po drodze, tak zresztą, jak większości Azerów. A robienie z kobiet babochłopów, budziło w niej wściekłość.

Za odmowę wstąpienia w szeregi partyjne, po studiach magisterskich odmówiono jej zgody na wyjazd. Wtedy to profesor Basarchanow zagroził dymisją ze stanowiska rektora Uniwersytetu Baskijskiego. O czymś takim w Baku nie słyszano od czasu wybuchu rewolucji październikowej. Wiadomość przekazywano z ust do ust, jak informację o groźbie epidemii dżumy.

Władza uznała, że gra nie jest warta świeczki. Murana zgodę na wyjazd otrzymała. Teraz, gdy jej myślami i uczuciami zawładnął Marek Solorz była właśnie na finiszu pracy doktoranckiej z zakresu konserwacji zabytków architektonicznych.

Do wagonu sypialnego pociągu relacji Warszawa – Moskwa weszła konduktorka.

– Za dwie godziny Moskwa – oświadczyła. – Czy macie może coś do sprzedania? Może kolorowe rajstopy?

– Proszę w prezencie – powiedziała Murana. – Proszę mi przynieść kawę.

– Aj! Aj!– krzyknęła z zachwytem konduktorka. – Barysznia ty moja! Lecę po kawę i ciasteczko.

Murana znowu zanurzyła się we wspomnienia. Nie słyszała piosenki „Szeraka strana maja radnaja” nadawanej przez głośnik. Zaraz potem ktoś długo wyjaśniał historię powstania Moskwy.

Wolność odpowiedzialna jest za wiele ważnych rzeczy, przekonała się o tym Murana. Włącznie z ułatwieniem potajemnych romansów.

Niektórzy kochają wspaniałomyślnie, na luzie. Traktują miłość jak wspaniałą przygodę. Ona kochała zachłannie, zaborczo, mrocznie. Spalała się wewnątrz, nie widząc możliwości szczęśliwego rozwiązania. Przerażała ją myśl, że musi się z Markiem rozstać.

Wiedziała, że jej mąż jest człowiekiem dobrym i prawym. Ojca, jak się rzekło, uwielbiała. Dla niego wiadomość o romansie byłaby, jak uderzenie nożem w serce.

Wyszła za mąż, bo tak chciał los. Wierzyła ślepo w przeznaczenie. Ślub wziąć nie sztuka, trudniej bywa z małżeństwem. Marek wyrósł na jej drodze

do biblioteki, jak obietnica czegoś niezwykłego. Jego oczy się śmiały i zauważyła, że docenia, co widzi. Była tego pewna. Bez przekonania zmagająca się z silną pokusą wychodząca z jej ciała.

Miała flirt we krwi. Nie bała się męskich spojrzeń, ani uśmiechów. One jej były wręcz niezbędne dla dobrego samopoczucia, zwiastowały dobry, udany dzień. Nie było to jednak równoznaczne z okazaniem zainteresowania, a tym bardziej z przyzwoleniem.

Wobec Marka była od początku inna. Odrzuciła zachowanie pozorów, że nie ma pojęcia, jakie wywiera wrażenie. Na spotkanie z nim starała się ubrać nie tylko elegancko, ale i pociągająco. Gdy siedzieli razem w archiwum zdjęć wybierała je, zupełnie, jakby ją to obchodziło, a naprawdę nie była w stanie niczego dostrzec poza nim.

Już na pierwszym spotkaniu w kawiarni wybrała miejsce, w którym musieli siedzieć niemal przytuleni do siebie. Nie zauważyła, by miał jej to za złe, lub dzięki temu czuł się skrępowany.

Gdy wszystko jest dozwolone, pokusa jest mniejsza... W wypadku Murany, wszystko sprzysięgło się przeciw niej. Religia, tradycja, totalitaryzm ustrojowy inwigilujący każdą sferę życia obywateli, tę łózkowa też. Sądząc po przeskodach, pokusa, więc była ogromna.

Obezwładniający rodzaj szczęścia, zakazany. Zohydzany. Dla ciebie siódme niebo. Dla postronnych, dupczenie. Zawistne spojrzenia, nieprzyjazne szepty, anonimowe telefony.

Ona zaczęła jednak żyć w innym świecie. Nie rozważała, że może to czyste szaleństwo. Żyła tą jedną, jedyną niepowtarzalną chwilą. Nie myślała, co dalej. Tutaj i teraz – powtarzała w myślach i głośno, zagłuszając szept sumienia, że może zostać wyklęta. I zgodna była za te chwile spędzone z Markiem, za karę, oddać w posłuszeństwo małżeńskie resztę lat życia. Przy nim doznała szczęścia.

Pamiętała oczekiwanie na wytęsknione spotkanie, jego pojawienie się z bukietem fiołków w Dziekance. Był trochę onieśmielony jej otwartą jednoznacznością. Ale to przecież jedna z cech wyróżniających kobiety wyrosłe

w jej kulturze. Dla niej się liczyło wszystko, albo nic. Widziała, że topniał, jak śnieg w promieniach wiosennego słońca. Pragnęli się nawzajem.

Potem długo klęczeli przed sobą nago, wciąż nienasyчени, wciąż spragnieni. Marek gładził jej ramiona i piersi. Ona spod przymrużonych oczu, z uczuciem dławiącej żądz, obserwowała, nieustającą jego gotowość.

Z myśli i wspomnień ocknęła się, gdy pociąg stanął. W Moskwie Muranę spotkała przyjaciółka z lat szkolnych. Odwiozła ją na lotnisko.

– Wielki świat! Co słyhać w wielkim świecie? – spytała ją przyjaciółka.

– Zakochałam się. – Murana czuła potrzebę szczegółowych zwierzeń. Jednak jej to po chwili minęło.

– Ja się rozwodzę ze swoim bigamistą – oświadczyła na zupełnym luzie przyjaciółka. – W Moskwie robią to bezboleśnie. – Zajrzała Mauranie głęboko w oczy, jakby w nich szukała odpowiedzi na dręczące przyjaciółkę skrupuły. – Zawsze byłaś bardzo niezależna. Zazdrościłam ci tego – dodała. – Czy coś się zmieniło? Czy to poważne? Nie boisz się, że to się doniesie do tego bakij-skiego grajdołka?

– Trafila w dziesiątkę – pomyślała Murana.

Nie dręczyły ją przecież wyrzuty sumienia. Te uśmierzała stwierdzeniem „serce nie sługa”. Dręczył ja strach, że romans może się wydać, a ona nie ujrzy więcej Marka.

– Czy gdyby zaistniała taka okoliczność, gdybym tego potrzebowała... – Murana się nagle zawahała... – Czy dałabyś mi alibi na przyjazd do Moskwy?

– Czy to dotyczy jego? – Przyjaciółka wydawała się być zachwycona. Wręcz rozkoszowała się myślą o tej możliwości. Dotknęła i poklepała po kolanie Muranę. – Masz wątpliwości? – udała urażoną. – Masz moje słowo. My kobiety... To Polak?

Murana kiwnęła głową.

– Gdyby nie było innej możliwości – z naciskiem podkreśliła Murana.

– Nie zostałabyś na parę dni u mnie? Mój „były” już się wyprowadził do nowej.

– Ojciec – odparła Murana.

– Tak, tak. Masz wspaniałego ojca.

Ratszyłt czekał na Muranę na lotnisku.

– Z nim lepiej – powiedział o teściu.

Objął Muranę i długo nie wypuszczał z uścisku.

– Jedźmy do ojca – poprosiła. W samochodzie przyjrzała się jego znajomej, dobrodusznej twarzy. To podłe, ale wołałaby jej nigdy nie oglądać.

Ojciec leżał w separacie. Był wymizerowany. Na widok córki uśmiechnął się szeroko. Mówił, ale jeszcze miał z tym trudności.

– Aleś mi napędził stracha. – Murana ucałowała rękę ojca. On mocno przytulił córkę do piersi.

– Jesteś, moje dziecko. – Do pomieszczenia weszła matka Murany. W rękę trzymała dymiący kubek.

– Wystraszył nas wszystkich – stwierdziła po raz drugi Murana.

– Oj, tak!

– Co tam w wielkim świecie? – spytał, pokonując trudności wymowy ojciec.

– Jakaś epidemia z tym wielkim światem? – przeleciało przez myśl Muranie. – Lepiej powiedz, jak się czujesz? – spojrzała pytająco na ojca.

– Jak ty tu jesteś to pewno czas wstawać z wyrka. W jakim miejscu jest twój doktorat? Niepotrzebnie oderwano cię od nauki.

Ratszyłt obrzucił teścia zdumionym spojrzeniem.

– Dzieci powinny być w takich chwilach przy ojcu – stwierdził.

– Oddałam pracę i czekam na uwagi profesora Zanikiego. – Murana pogładziła ojca po ręce.

Tego wieczoru Ratszyłt adorował żonę, jak księżniczkę z bajki. Pocieszał i rozplýwał się w komplementach.

Murana rozglądała się po znajomych kątach. Profesor zajmował ogromne pomieszczenie w starym domu w stylu gubernialnym. Dwa pokoje zajmowała

córka z mężem. W pokoju sypialnym paliło się ciepłe mleczne światło. Ogromne małżeńskie łoże zasłane adamaszkową kołdrą, z mnóstwem poduszek, bezwstydnie reklamowało swoje przeznaczenie. Spojrzała na nie, jak na Madejowe Łoże. Ratszyłt natomiast nie krył swojej ekscytacji.

– Jesteś zmęczona podróżą i przeżyciami, może byśmy poszli spać wcześniej – ziewnął bardzo znacząco. Tego, co miał na prawdę w zamiarze, przynajmniej tej nocy pragnęła uniknąć za wszelką cenę.

– Połóż się, mój drogi – powiedziała. – Ja muszę cały stres samotnie odregulować.

Oszukiwanie. Szło jej zupełnie dobrze.

Nie do końca przekonany ruszył do łazienki z miną rozgrymaszonego dziecka. Zabawiał tam dość długo, aby pozostawić żonie czas do zmiany decyzji.

Murana była przebita chorobą ojca, ale i wściekła za brak delikatności ze strony Ratszyłta. Ustalała taktykę postępowania

– Czy ojciec wyjdzie cało z choroby? – zadawała sobie pytanie. – A jeśli nie, to czy Ratszyłt zgodzi się na ponowny jej wyjazd do Polski? Muszę być dla niego miła. Nie mogę wzbudzić najmniejszych podejrzeń – postanowiła, tak, jak, to może uczynić, zaskakując samą siebie, tylko kobieta. Otworzyła sekretarzyk i rozpoczęła żmudne przyrządzanie kawy. Postawiła dwie porcelanowe przywiezione z Warszawy filiżaneczki na tacy i ruszyła do sypialni. Był mile zaskoczony i gotowy do akcji. Murana rozebrała się i narzuciła szlafrok. Ratszyłt gładził jej kolana.

– Kocham cię – powiedział. – Tak dawno. Pragnę.

– Dawno – powtórzyła Murana.

Wypili kawę i Ratszyłt zmierzał do finału. Zmęczenie, przyćmione światło, zbudzone marzenia sprawiły, że Murana powędrowała myślami do niewielkiego pokoju w Dziekance. I to zdało egzamin. Nie mogła powiedzieć sobie, aby wszystko minęło niezauważone.

Ratszyłt rozpływał się w radosnym uniesieniu i nie zamierzał poprzestać na osiągniętych.

Początkowo skarciła go lekkim klapssem.

– Wykopię się.

Zgłosił natychmiast również swój akces.

Stał nagi przy wannie i namydlał ciało małżonki. Zachwycał się jej krągłościami, aż wreszcie nie wytrzymał i wlaź do przelewającej się wanny. Murana wrócił nieoczekiwanie nastrój zadumy, który Ratszyłt uznał za wyraz troski o los ojca.

– Wyjdzie z tego – powiedział, jakby usprawiedliwiał swoje zachowanie. Nie przeszkodziło mu to jednak w miłosnych manewrach. Ukląkł i objąwszy Muranę w pół odwrócił ją tyłem do siebie.

Wbrew zapowiedziom, powrót profesora ze szpitala był wciąż odkładany. Murana piekliła się w duchu, widząc rozpierającą męża radość z przedłużającego się jej pobytu w domu. Jej było bardzo ciężko. Z powodu ojca, a nie mniej, Marka. Z trudem kryła nerwowość i brak humoru.

Ratszyłt wymyślił nagle, że pojedą na długi weekend do domku nad Morze Kaspijskie.

– Niemożliwe, Ratszyldzie – sprzeciwiła się Murana.

– Dlaczego? – spytał zdezorientowany.

– Mój czas kalendarzowy – powiedziała otwarcie.

Zmieszał się i spuścił głowę. Sam powinien był się domyśleć, a ściślej zaprowadzić niezbędny zapis.

– Przepraszam. Wydawało mi się, że to było całkiem niedawno.

Murana rozmyślała nad sposobem zatelefonowania do Marka. Pragnęła usłyszeć jego głos.

Telefonować z Baku do Polski nie było prostą rzeczą. Trzeba było zamać telefon z domu, podać swoje i abonenta zagranicą nazwisko i adres. Nigdy nie było wiadomo, kiedy się dostanie połączenie (najczęściej w środku

nocy, gdy spała z Ratszyltem) no, a gdyby to jakoś ominąć, potem przychodził rachunek z wyszczególnieniem, do kogo, kiedy.

Czasem, paradoksalnie, pocieszenie przynosiło przeświadczenie, że Marek, tak jak ona, co wieczór zasypia we własnym łóżku, u boku swojej kobiety. Że potraktował ich romans, jako miłą przygodę i nie musi znosić katuszy, bo jej już nie ma.

Kombinowała na różne sposoby i nie wykombinowała nic ponadto, że jakoś ze wszystkim trzeba się będzie z czasem ułożyć. Mózgowała, jakby tu wrócić znowu do Warszawy i każdorazowo dochodziła do przerażającego wniosku, że i tak musi się z Markiem rozstać i wrócić do Ratszyłta.

Może i takie pauzy byłyby do przyjęcia, gdyby nie dzieliło ją od Marka dwa tysiące kilometrów. Gdyby nie musiała wypraszać każdorazowo męża o zgodę na wyjazd, zabiegać o przychylność bezpieki, urzędów różnych szczebli. Gdyby była jakakolwiek szansa, że wieść o romansie nie dotrze do Baku. Bo w takim wypadku, stałaby się tu niczym, zerem.

Poza wszystkim, tylko w swoim kraju, widziała swoje miejsce. Miała tutaj misję do spełnienia. Winien był temu jej ukochany ojciec. Nie śmiała zawieść jego oczekiwań. W Polsce, oprócz miłości nie miała, czego szukać. W Azerbejdżanie zaś, nie miał, czego szukać Marek.

Któregoś dna Murana przeglądała zdjęcia ukazujące renowacje zabytków sakralnych wybranych dla niej przez Marka.

– Jak czują się nasi przyjaciele Ewa i Wincenty? – spytał Ratszyłt, zaglądając przez ramię na zdjęcia.

Drgnęła, jakby przyłapał ją na czymś niewłaściwym.

– Trochę ich zaniedbałam przez tą pracę doktorską – powiedziała. – Ale zaprzyjaźniłam się z nowym małżeństwem Solorzy, z Alą i Markiem. Oboje są dziennikarzami. Bardzo mi pomogli w kompletowaniu materiału do dysertacji i jej korekcie.

Zdumiewające, skąd się w niej brała ta przebiegłość, umiejętność improwizacji i przewidywania. Kłamała, jak z nut. Zmyślała niemal sama w to wierząc.

– To są zdjęcia od nich. Chcę napisać o polskiej szkole renowacji zabytków. Chcę zadzwonić do Ali lub do Marka z prośbą o dodatkowe konkretne materiały.

– Może będę miał ich szczęście kiedyś poznać i podziękować osobiście – wyraził nadzieję Ratszyt.

– Tylko nie to – przeleciało jej przez myśl. – Wbiłbyś sobie własnoręcznie gwóźdź do trumny.

– To urocza para – oświadczyła z entuzjazmem Murana na myśl, że w perspektywie niedługiego czasu usłyszy głos Marka.

– Zapewne – zgodził się Ratszyt i przysiadł się do żony. – Gdyby nadarzyła się jakaś okazja, to z przyjemnością będę ich gościł u nas. Położył żonie dłoń na karku, drugą wolniutko odgiął rant spódnicy. Była potulna i uległa.

19

Następnego dnia ruszyła kawalkada samochodów w kierunku plaż Morza Kaspijskiego. Dookoła step i step. Pięć samochodów buksowało w mazi asfaltowej. Z nieba kapał żar. Byłem wachlowany i rozpylano mi na twarz lekko pachnącą wodę.

W pierwszym samochodzie jechała Murana z Ratszyłtem i rodzicami. Murana przyglądała się mężowi. Na parę dni stała się kobietą o dwu twarzach. Bez najmniejszych wyrzutów sumienia patrzyła na jego wyrażający zadowolenie uśmiech. Ona również uśmiechnęła się do niego i delikatnie pogładziła mu rękę.

W istocie, bowiem dziękowała swemu mężowi za wyjazd z kochankiem nad morze. Była mu naprawdę szczerze wdzięczna. I nic się nie wydarzyło. Nie dopadły jej demony, ani nie uderzył grom z jasnego nieba. Przeciwnie. Dzień był promienny i zapowiadał się cudowny wieczór. W mroku zamierzała wykonać swój przemyślany zamiar.

Samochody kołysały się na wyboistej drodze, jak karawana wielbłądów, a lekko drgające, rozpalone powietrze powodowało, że wciąż goniliśmy wyimaginowaną przez wzrok, oddalającą się taflę wody. Tak mi się to wydawało.

Naszym oczom w końcu jawiło się morze, gładkie i lśniące, jak rozpięty celofan, nieruchome, jak roztopiony metal. Nareszcie stanęliśmy i z aut wysypała się czereda. Ciuszki zrzucano w biegu.

Słona, krystaliczna zawiesina, spowolniała ruchy, a chętnym, pozwalała wisieć w nieważkości, w dowolnie obranej pozie.

Dwie panie, z którymi jechałem, pokonując opór wody, wlatywał nad nią i wpadały w ramiona uczestniczących w zabawie panów. Flirt przebiegał bez zakłóceń. Za wyróżnioną trampolinę obie panie obrały mnie.

Murana trzymała się nieco z boku. Zżerała ją zazdrość o moje jałowe przecież powodzenie. Była wściekła i przygnębiona „bez dania racji”, jak mówią w Krakowskiem. Ja zaś czekałem na jej skinienie i wiedziałem, że się do czekam.

Nastąpiła zmiana pierwotnych planów. Czułem w tym palec Murany. Mieliśmy pozostać tu na noc, rano zobaczyć wschód słońca. Rozpoczęto gorączkową krzątaninę. Panie sposobiły domki, panowie rozpalili ognisko. Mnie odesłano do domku. Wlazłem pod prysznic i zarżałem z dzikiej radości.

– Jesteś tu? Siedzisz po ciemku? – usłyszałem głos Murany.

Pociągany żarem emanującym z jej ciała i wnikającym w moją skórę, przybliżyłem się do niej i objąłem ją wilgotnym ramieniem. Stała oparta o framugę okna, za którym, w pobliżu, płonęło już, i sypało tysiącami iskier ognisko.

Aż rwaliśmy się do siebie.

Odblask oświetlał jej twarz i znalazłem w jej ciemnych oczach, znane mi błyski. Lekko wygięła się i podciągnęła spódnicę, a ja, uległem temu instynktowi, który kazał mi, ze zdwojoną siłą, pożądać ciała żony w niedalekiej obecności jej męża. Z okrucieństwem kochanków, z oczami wbitymi w buzujący żar, syciliśmy się sobą, gotowi na każdą niegodziwość, gdyby coś przerwało nasze połączenie.

– Chcę mieć twoje dziecko! – krzyknęła Murana zduszonym głosem, w chwili największego uniesienia. Długo nie pozwoliła mi się od siebie odebrać.

Wróciłem po ognisku do domku i ogarnęło mnie straszne uczucie samotności. Tego wieczora już niczego nie musiałem. Wyczuwałem w tym coś na kształt groźby. Próbowałem zasnąć, ale świadomość bliskości Murany i jasny blask księżyca wpadający do pokoju niweczyły te wysiłki.

Odkryłem z przeraźliwą przejrzystością, że romansująca mężatka, musi sypiać z mężem. Tego przekonania dostarczał mi widok ciemnych okien w ich domku.

Ratszyłt zapewne ją właśnie obejmował, wybierał pozycję. W myślach gardziłem brakiem przyzwoitości Murany, niewiernością i bezwstydem. Zaraz potem, ganiłem siebie. Kimże w końcu byłem, aby osądzać, co jest dobre, a co złe?

Była kobietą tej ziemi i wypełniała przeznaczenie, w które święcie wierzyła, i w które nie dała mi prawa ingerować. To była koszmar na noc.